

Dementi dotyczące sytuacji w Kamionnej, tysięczny tłum wznosi świątynię w Ostrowi, religijnemu uniesieniu nie zawsze po drodze z higieną, nieszczęśliwe wypadki zmorą mieszkańców gm. Brańszczyk, nie ma świętych krów w OSP

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Pałac w Ceranowie (z albumu p. Zofii z Komarów Franciszkowej Górskiej)¹.

Dwa tygodnie temu opublikowaliśmy dwa listy, w których niejaki Marcin Luborzycki odmalowywał Kamionną jako bez mała Babilon. Okazuje się, że nazwiskiem Luborzycki, podpisywał się nieznanemu nikomu typak, który z siebie tylko wiadomych powodów szkalował parafian z Kamionnej.

Drewniany kościół w Ostrowi, choć wciąż chędogi, to z trudem już mieścił parafian i więcej wiernych niż wewnątrz, musiało słuchać kazań w deszczu i śniegu na zewnątrz świątyni. Na apel proboszcza wierni krzyknęli – Zakaszmy rękawy, budujmy! Teraz pną się ku niebiosom mury wznoszone pospołu przez rolników i rzemieślników, starych i młodych, biednych i zamożnych, mężatki i dziewice...

Ordynator sterdyńskiego szpitala dr Jerzy Tchórznicki już po raz kolejny wytyka nam niekoniecznie wzorową dbałość o czystość. Tym razem ten religijny człowiek nie wzdraga się przed poruszeniem tematu tabu, jakim była i często jeszcze bywa higiena świątyń. Artykuł jest owocem obserwacji dokonanych przede wszystkim w kościołach naszego regionu.

Dwa tragiczne wypadki pogrzyżyły w smutku mieszkańców gminy Brańszczyk.

Nie ma równych i równiejszych. Ponieważ ksiądz Pyszkowski z Czyżewa nie uregulował swoich zobowiązań wobec Ochotniczej Straży Pożarnej, nie zwrócił pieniędzy za bilety na przedstawienie amatorskiej trupy i nie odpowiada na słane na jego adres listy ponagląjące, przeto S. Sadowski, skarbnik OSP zamieścił stosowny apel na łamach gazety.

Nie kryjemy, że redakcja składa się z osób w wieku słusznym lub jak kto woli zaawansowanym, choć niekoniecznie dojrzałym. Czytelnicy pytają czasami o rzeczy osobliwe, a do najdziwniejszych należy to zadane przez dwudziestoletniego Adama H. Nasz czytelnik pyta mianowicie, jak to jest być człowiekiem w wieku podeszłym, bo on sobie tego nie wyobraża i ma nadzieję, że wieku tego nie dożyje.

Otóż panie Adamie, wydaje nam się, iż jest Pan w mylnym błędzie. Wręcz przeciwnie, powinien Pan wznosić modły o jak najszybsze zestarzenie się, jako że życie staruszka jest super.

Jak wykazują dane statystyczne, a dane te potwierdzają codzienne obserwacje, ok. 20% obywateli wygląda dobrze, ok. 60% ma aparycję przeciętną, a jeśli o pozostałych chodzi... no to cóż. Ogromna większość dziewcząt twierdzi, iż wygląd zewnętrzny ma za nic, bo liczy się tylko wnętrze człowieka. Rzecz jasna jest to bzdura nad bzdurami. Może Pan wykonać pięknie wyretuszowane zdjęcia USG swojej śledziony czy jelita grubego, pokazywać je każdej napotkanej dziewczynie, a te i tak polecą za szczęśliwcami z pierwszej, najurodziwszej grupy.

¹ „Wieś Ilustrowana”, nr 1 ze stycznia 1910 r.

Grupa przeciętniaków, aby wywołać w dziewczynie żarliwe uczucie, musi wyróżniać się dodatkowym atutem, np. grubszym portfelem. Ostatnie zaś 20%... no cóż, życzymy im horrendalnej wygranej w grach losowych, bo to może sprawić, że przestaną być dla kobiet niewidzialni.

Tymczasem wystarczy, że redakcja nie ma nadto poplamionego zupą swetra, nie ślini się nadmiernie i jakoś tam powłóczy nogami, a wszyscy mówią, że wygląda dobrze. Jeżeli zaś na swetrze nie ma choćby jednej plamy, a w kąciuku ust śliny, to wszyscy jak jeden mąż twierdzą, że redakcja wygląda świetnie. Wreszcie sprawiedliwość, równość i tak jest z każdym starszkiem. Oczywiście, pokrzywdzonymi poczuć się mogą członkowie klubu piękniśków, ale to nie nasze zmartwienie, gdyż są w mniejszości, a co użyli, to tego im nikt nie odbierze. Nie nadesłał nam Pan swojej fotografii, zatem przypuszczamy, że nie należy Pan do grupy uprzywilejowanej, bo oni zwykli wciskać swoje podobizny komu popadnie, identycznie jak to czynią akwizytorzy branży fotowoltaicznej z prospektami reklamowymi.

Wyrósł Pan już szczęśliwie z wieku, w którym każdy zadaje durnowate pytanie – A kim chcesz zostać chłopczyku? Teraz zadają zapewne pytania nie mniej idiotyczne, ale ciut inne, typu – Co zamierzasz robić w przyszłości? – albo – Gdzie Pan się widzi za lat 20-30? Choćby ktoś miał ledwie kroplę oleju w głowie, to nie zada redakcji podobnego pytania, bo gdzie ta się widzi za lat 20-30, to każdy dobrze wie. Osoby, co bardziej zapobiegliwe znają nawet numer alejki i kwatery, w której znajdują się po upływie wzmiankowanego okresu.

Zalet bycia starszkiem jest bez liku. Człowiek może całymi dniami leżeć spokojnie na kanapie, gapić się w sufit i nikt mu nie robi wyrzutów, że marnuje życie, że niczego nie osiągnie, bo przecież może zostać, kimkolwiek zamarzy – polecą w kosmos, skoczą 5 metrów wwyż bez tyczki, otrzyma Nobla za rozwikłanie tajemnic zimnej fuzji jądrowej. Teraz w grę wchodzi, co najwyżej nagroda pokojowa. Patrząc zaś na wiek niektórych dzierżących przeróżne tytuły, to redakcja mogłaby zostać prezydentem, ale to oznacza konieczność większej dbałości o siebie, np. brak plam po zupie na swetrze... a po co komu ten kłopot, lepiej żyć na luzie i liczyć spełnienia na suficie.

Skoro przy swetrach jesteśmy, to np. redaktor naczelny uwielbia luźne ubrania, takie, które młodzi nazywają *oversize*. Gdyby był młodszy, to ludzie zwracaliby uwagę, że nie idzie z trendem, nie jest *cool*, nie nosi modnych kreacji – wie Pan, takich, w których człowiek wygląda niczym mumia, tyle że zamiast bandażami, opakowany jest tekstyliami tak ściśle, że nawet nie zamarzy o poruszaniu rękami. Tymczasem redaktor naczelny paraduje w ciuchach workowatych i ogólnie takich, w jakich mu się żywnie podoba.

Kolejny pozytywny w byciu kimś w wieku mocno zaawansowanym jest taki, że choćby wciąż dysponowało się słuchem absolutnym i wzrokiem snajpera, to zawsze można powiedzieć, że czegoś się nie usłyszało, nie dojrzało. Nikt także nie próbuje zawstydzić redakcji, mówiąc – Taki młody, wykształcony, a nic nie rozumie. Rozumie, nie rozumie, w tym wieku nie ma to żadnego znaczenia. Nikt nie nazwie człowieka dziwakiem, z tego tylko powodu, że nie chodzi wszędzie z kijkiem do robienia *selfie* i nie wstawia na portal społecznościowy fotki każdej spożywanej jajecznicy... ba, nikogo nawet nie dziwi, że redakcja nie wie, co to takiego ten portal. Tym sposobem redakcja słyszy, widzi, rozumie i pamięta tylko to, co dla niej w danym momencie wygodne.

To oczywiście nie ostatni dodatni plus bycia starszym. Młody człowiek stara się zwykle wykazać, że wszystko wie, włącznie z nazwą stolicy Bhutanu. Z wiekiem człowiek nabiera rozumu i w końcu dochodzi do jedyne go słusznego wniosku, że ma w nosie zarówno stolicę Bhutanu, jak i piąty co do wielkości dopływ Nilu. W wieku redakcyjnym nawet największy pozer nie musi już niczego udawać. Oczywiście, zdarzają się osobnicy, którzy nawet leżąc po trzecim zawale na OIOM-ie, wciąż będą grali wszystkim wiedzących i przekonywali pielęgniarki, że: miejsce, w którym spędzały urlop, jest do kitu, a on zna lepsze; banany są zdrowsze od jabłek; diesel daje większego kopa od benzyniaka... To jednak niechlubne wyjątki.

A teraz aspekt, powiedzmy, że zlokalizowany poniżej pasa. Z pewnością Pan pamięta, jakie zagadnienie zajmuje w największej części myśli przeciętnego nastolatka. Jakie to zagadnienie, to dobrze Pan wie i coś przypomina sobie redakcja. Osobom mniej domyślnym zdradzimy, że nie jest to jeden z problemów, o których od rana do późnej nocy rozmyślają kandydatki na przeróżne Miss: walka z głodem, walka o pokój i szczęście dzieci itp. Osoby w wieku podeszłym już właściwie nie zaśmiecają sobie głowy wspomnianym zagadnieniem, a nawet nie wiedzą, czemu z tak błahej sprawy robiono wielkie halo.

Zalety bycia starszym można wyliczać praktycznie bez końca. Wad jest niewiele. Rozczarowane mogą czuć się np. osoby gustujące w uroczystościach ślubnych. Z upływem lat ubywa bowiem zaproszeń na wesela, ich zaś miejsce zajmują informacje o pochówkach członków rodziny i znajomych. Jest jednak wiele osób, które nie przepadają zarówno za ślubami, jak i za pogrzebami. Dla nich redakcja ma tę radosną nowinę, że czas trwania przeciętnych obrządków funeralnych jest znacznie krótszy od weselnych i są ogólnie znacznie mniej wyczerpujące fizycznie. Jak zatem Pan widzi Panie Adamie, nawet ten z trudem odnaleziony, a wyżej opisany negatyw zawiera liczne elementy pozytywne.



[„Gazeta Świąteczna”, nr 44 (148) z pierwszej niedzieli listopada 1883 r.]

Z parafii Kamionnej, powiatu węgrowskiego, guberni siedleckiej. Od czasu jak po zmarłym księdzu Józefie Wiktorze, objął u nas probostwo ksiądz Piotr Mystkowski, co niedzielę i święto słyszymy z ust jego, że nam nowy kościół potrzebny. Parafianie utrzymują, że to wypadnie dla nich za ciężko, a zresztą stara świątynia nasza nie jest jeszcze w tym stanie, żeby stać dłużej, nie mogła. Ksiądz proboszcz inaczej to widzi i przypomina nam niezbędną potrzebę tego, wyrzucając skąpstwo grosza na potrzebę Bożą. Co prawda, to kościół nasz mógłby jeszcze stać lat kilkanaście, ale cóż, kiedy za szczupły, bo połowa ludzi nie może się w nim pomieścić. Jak wypadnie deszcz albo śłota, to ci, którzy później przyszli na nabożeństwo, muszą stać na cmentarzu i moknąć, więc też wielu w czasie mszy świętej, szuka schronienia w karczmie. W zimie jeszcze gorzej i wtedy mało ludzi jest w niedzielę na nabożeństwie. Może da Pan Bóg, że się namyślą parafianie i uchwalą nareszcie składkę, więc też, za jakich parę lat mielibyśmy nową świątynię.

Od dwóch lat został u nas zaprowadzony zwyczaj, że część młodzieży, która ma dobry głos do śpiewu, zbiera się co niedzielę i święto do kościoła i staje do kościelnego chóru. Należą do tej drużyny śpiewaków same dziewczęta i przy pomocy organisty Wincentego Spodniewskiego, wcale nie najgorzej ponauczały się śpiewać. Ojcowie i matki radują się bardzo, słysząc swe córki śpiewającymi na chwałę Bożą, co i myśli wszystkich modlących się podnosi do nieba i do modlitwy. Śpiewaczki te po większej części są ze wsi Matał, Łosiewicz, Dąbrówki i Jasionówki.

Ignacy Sawicki.

[„Gazeta Świąteczna”, nr 48 (152) z pierwszej niedzieli grudnia 1883 r.]

Ze wsi Kamionnej, powiatu węgrowskiego otrzymaliśmy do Gazety list taki:

Będzie już dwa lata na nowy rok, jak trzymam „Gazetę Świąteczną” i przy czytaniu jej tak myślę sobie, że kiedy inni piszą gazety dla mądrych, to wy dla swojej czas poświęcając, musicie bardzo kochać nasz lud. Piękne w niej opisujecie rzeczy. Jak ksiądz proboszcz w kościele dokładnie i zrozumiale tłumaczy nam naukę Zbawiciela naszego, i ludzie, gdyby według tego postępowali, byłiby pewni zbawienia, tak też i czytając gazetę, a za radami jej idąc, moglibyśmy być szczęśliwi pomiędzy sobą. Ale na świecie bywa rozmaicie z ludźmi. Jedni postępują dobrze, bo wedle Boga żyć pragną, a drudzy źle czynią, jakby nie wiedzieli, co ich czeka przy takim życiu.

Czytam w Gazecie o rozmaitych rzeczach, jak się, gdzie dzieje, ale od tego czasu, kiedy o Kamionnej zaczęli pisać, widzę wiele nieprawdy. Na czytanie takich opisów szkoda psuć oczy. Trzeba najprzód to wiedzieć, że ani w Kamionnej, ani w całej okolicy nikt nie zna Marcina Luborzyckiego, więc albo on jest przybłądą z daleka, nierozpatrzył się pomiędzy nami i pisze źle, albo się wstydy prawdziwego nazwiska swego. Niby szczur jaki wyłazi z nory i gryzie. My tu wszyscy wiemy, że szkoła dla naszych dzieci jest koniecznie potrzebna i często nam to przypomina ksiądz proboszcz, ale ujednać się jeszcze nie możemy, bo mamy i przeszkody

miejscowe. W domu za to uczymy dziatki swoje czytać i pisać, i z pewnością więcej jest między nami piśmiennych, aniżeli narachował ów Luborzycki. O marnym postępku Marchlika, co na farbowany papierek nagryzmołony chciał Żyda oszukać, nie warto było i wspominać, według mojego zdania. Ja myślę, że siedząc teraz w kozie, żałuje on tego, a może zresztą żałuje, że mu się nie udało zostać pisarzem gminnym.

Co do dożynek w Kamionnej, opisanych w innym numerze przez tegoż Luborzyckiego, to już chyba wierutne kłamstwo, boć przecie i ktoś więcej widziałby tę obrzydliwość, jak to ludzie niby nierogaczna leżeli pijani w rowach. Ja bym się zapytał piszącego, co on robił o świcie nad owymi rowami, kiedy inni, poczciwi i pracowici ludzie odpoczywali po tygodniowej pracy? Mówi chyba dlatego, że to było o świcie, aby kłamstwo swoje ukryć w pomroce – a może sam leżał w rowie z innymi? I drugie opisuje kłamstwo, bo sprawdziłem już dokumentnie, że dom mieszkalny i stodoła we wsi Turna nie spaliły się od piorunu, ani z innego przypadku. Zrobiłby lepiej ów Marcin Luborzycki, gdyby opisał prawdziwe zdarzenie, o którym wszyscy tu wiemy, a to, że się znalazł u nas pewien niepoczciwy człowiek i zarazem pokątny doradca, który biednego chłopaka, chcącego sobie kupić kawałek ziemi, tak otumaniał swymi obietnicami, przyrzekając dopomóc mu w kupnie, to pożyczyć pieniędzy, że wymanił od niego 50 rubli, a potem uciekł.

Józef Ponikowski
kował w Kamionnej.

Przypisek od Redakcji. Co się, gdzie na wsi dzieje, my o tem z dokładnością nie możemy wiedzieć, a objeżdżać po wsiach i sprawdzać to, co ludzie piszą z całego kraju, nie mamy czasu i to by prowadziło zresztą do kosztów, na które chuda nasza kieszeń nie starczy. Rachować coś przecie należy i na dobrą wolę piszących. Otóż co do tej *dobrej woli*, doznajemy czasami zawodu. Kto temu winien? Juźci chyba nie my, co szukamy przebiccia się z Gazetą na ciasnych drogach frasunku i dbałości o lepsze jutro. W każdej okolicy znaleźć by się powinien ktoś serdeczniejszy dla swego ogółu i dbalszy o prawdę w podawanych opisach. Są tacy, dziękować Bogu. Zdarzają się jednak i inni, którzy chcą błysnąć przed okolicą tem, że ich pisanie może dostąpić druku. Wcale niemądra to chwalba! My przecież nie mamy sposobu odgadywania z jakim zamiarem, ten albo ów zasiada do pisma. Dla odwrócenia szkodliwości takiej gryzmoły nie powinni ludzie tak długo milczeć i dusić w sobie niechęci przeciw fałszowi, jak było do tego czasu z Kamionną. Należało zaraz odpisać, skoro zauważano, że pierwszy lisy Marcina Luborzyckiego fałszywie rzeczy podaje. Przy takim odpisywaniu trzeba i o tem także pamiętać, że Kamionna od Warszawy daleko i nam trudno to wiedzieć, który z piszących ma za sobą więcej słuszności. Kto odpisuje, niech się uda do księdza proboszcza albo do kogo innego, co sam na siebie trzyma Gazetę, a więc z imienia i nazwiska jest nam wiadomy, i niech poprosi o poświadczenie prawdziwości odpisu.

Czy w Kamionnej mieliśmy ostrzeżenie takie? Nie – wszyscy milczeli do tego czasu! Kował Ponikowski, którego list podajemy, także nie jest nam z osoby znany. Mogliśmy zatem tak dobrze o prawdziwości jego słów wątpić, jak i o prawdzie tego, co Luborzycki pisał. Tak się zdarzyło, że od jednego i od drugiego zeszyły się razem dwa listy, więc jaka tu rada? Przeczytaliśmy list księdza proboszcza w Gazecie Warszawskiej i wiemy teraz nawet już o tem, iż mniemany Luborzycki ukrywa swoje prawdziwe nazwisko – słowem, to dopiero spowodowało odrzucenie jego listu, a wybraliśmy do druku drugi.

Niech to posłuży za naukę i dla innych okolic, jak trzeba czujnie pilnować spraw swego ogółu i prawdy, żeby się w piśmie nie zaplątał głos od kogo takiego, co jak to mówią ludzie: „swoje ma za uszami”.

Z miasta Ostrowia w guberni łomżyńskiej.

Treść: Jak to się zabrano do budowy nowego kościoła i słówko o starym.

Przed trzema laty, za staraniem księdza Jarnutowskiego, parafianie ostrowscy uchwalili, żeby wymurować nowy kościół. Plany i kosztorys ułożone przez budowniczego Nowickiego z Łomży rząd zatwierdził i w dniu 9 maja tego roku przystąpiono do wznoszenia fundamentów zbiorowemi siłami parafian pod przewodnictwem budowniczego Czosnowskiego z Warszawy. Rozpoczęcie tak wielkiego dzieła pracą i groszem ubogiego ludu, a w części i ludzi możniejszych, jest dowodem, czego może dokonać wiara i ufność w Bogu. Raduje się dusza, gdy patrzysz na ten lud zebrany i pracujący gorliwie dla chwały Bożej i dla wspólnego pożytku duchowego całej parafii. Ale jakże nędznie przy nim wyglądają owi próżniacy, którzy się sprzeciwiali podjęciu tego dzieła, a których, na szczęście, znalazło się niewiele.

Na głos proboszcza przemawiającego gorliwie i wzywającego parafian do pracy, idą kolejką z każdej wsi młodzi, starzy, ubodzy i zamożni, idą z miasta i bractwne dziewice, śpiewaczki kościelne, wszyscy znoszą cegły, kamienie, wożą taczkami piasek, a gospodarze nie tylko w dzień, ale i w nocy zwożą setki fur kamieni ogromnych, które układają w głębokie wykopalisko pod fundamenty murowane przez mularzy. Każdy pracuje według sił. Parafianie przychodzą do pomocy w robotach o godzinie 5-tej rano, a odchodzą po zachodzie słońca, Szczególniej odznaczają się gorliwością włościanie ze wsi Grabownicy. Przychodzą z pomocą nawet ludzie z innych parafii. I jakże tego ludu nie kochać! Gdy stanie wspaniały dom Boży, to każdy będzie mógł się cieszyć, że przyłożywszy swą rękę do tego dzieła, zostawi pamiątkę dla dalekich potomków. Przy pracy około kościoła jednoczą się wszystkie stany, każdy – i ubogi, i zamożny stara się służyć tem, do czego jest zdalny. Może też to dzieło skłoni niejednego do poprawy, do porzucenia złego nałogu, aby grosz, który miał utonąć w szynku, obrócił się na budowę kościoła. Podczas wielkiego zgromadzenia ludu, gdy zaczęto budować kościół, mieliśmy jeszcze inny zachwycający widok. Oto setki dzieci na placu kościelnym przygotowywał kapłan do spowiedzi. Na ostatnie nieszpory Bożego Ciała zgromadzili się parafianie, dziatwa i pracujący nad budową kościoła, by złożyć cześć Panu nad pany. W parafii ostrowskiej widoczną jest gorliwa praca kapłanów nad ludem.

Pisząc o budującym się kościele, należy wspomnieć o kościołach w dawnych wiekach wzniesionych w tej parafii. Wedle tutejszego podania kościół w mieście Ostrowiu był założony pierwotnie w roku 1443, za panowania książąt mazowieckich i króla polskiego Władysława Warneńczyka. Wówczas bardzo wiele kościołów zostało wzniesionych w naszym kraju.

Ze starych papierów zaś widać, że kościół w Ostrowiu zbudowany był w roku 1555 przez sławnego uczonego księdza Andrzeja Nideckiego, biskupa wendeńskiego, a proboszcza ostrowskiego. Przy kościele tym było wtedy sześciu księży, a parafian tylko 600, gdy dziś jest ich aż 6000.

Po upadku owego kościoła zbudowano nowy, drewniany za proboszczów Wojciecha Gutowskiego i Jakuba Chrostowskiego, między latami 1796 a 1801. Potem kościół wiele razy był odnawiany, a po raz ostatni niedawno, ale jest za mały i nie może pomieścić pobożnych z

tak ludnej parafii. W dniu świąteczne ledwie część ludu mieści się w kościele, a reszta pozostaje na cmentarzu. Więc sami parafianie uznali potrzebę większego kościoła i dlatego tak chętnie biorą się do rzeczy. Komitet budowy starannie też pełni swe obowiązki, zatem wszystko idzie dobrze. Oby i nadal nie zabrakło nam wytrwałości.

Przedpłacicielka Gazety Świątecznej.

[„Zdrowie” nr 52 ze stycznia 1890 r.]

HIGIENA ŚWIĄTYŃ

przez

D-ra J. Tchórznickiego.

[fragmenty]

Aby rozpatrzyć przedmiot, o którym pisać zamierzamy, potrzeba dość cywilnej odwagi, dość pewności, że traktujemy go w dobrej intencji; dość nadziei, że wywody i myśli nie będą tłumaczone opacznie; dość wiary w powagę motywów wywołujących dyskusję. Słowem chcemy rozejrzeć się w drażliwej z natury rzeczy, lecz ważnej kwestii: „Higienie świątyń”. Sądzę, że racjonalne przedstawienie przedmiotu, nie zmniejszy chwały Bożej. Faktem jest, że na świątynie w ogóle i wszystko, co z takowemi ma styczność, zwrócona być winna większa niż dotychczas uwaga higienistów. Omijano tę kwestię z wielu i to nader skomplikowanych przyczyn.

Przede wszystkim świątynia wzbudza w religijnie usposobionej jednostce i masach pewien rodzaj poszanowania swą tradycją, pamiątkowością, swym majestatem, powagą! Każdy więc, kogo analityczny prąd chwyci i do rozbioru szczegółów wezwie, zatrzyma się wpół drogi, i myśli swe wyjawiać się wzdraga.

Niegdyś, przed ołtarzami temi stali silni, mężni rycerze – dziś chude pacholki. Olbrzymie postacie, żylaste dłonie gnące żelazne sztaby, znikły bezpowrotnie. Wynędzniałe pod ciężarem nadmiernej pracy sylwetki robotników i ludzi pracujących umysłowo, przedwcześni starcy, kobiety odziane w drogie łachmany – oto zwykły obraz, jaki napotykamy w świątyniach miejskich. Zdarzy się twarz weselsza, zdrowsza, organizm czerstwiejszy, lecz gdzie to życie tryskające z twarzy? Gdzie te wesele rozlane na niej? W dziecku rachityzm, w dziewicy małokrwistość, w dojrzałym mężu reumatyzm, w starcu bóle podagry.

W świątyniach wiejskich widzimy zdrowszą cerę, rumiejsze twarze, więcej rzeźkości i siły – lecz na ogół o atletycznej budowie, o jakiej świadczą pancerze i zbroje wieków średnich, o sile fizycznej, dzielności mowy tu być nie może.

[...]

Idąc za człowiekiem, zaszliśmy i do świątyni. Tu zastajemy całą masę indywidualności ustawionych tak ściśle obok siebie, że szpilkę wetknąć trudno. Jest lato temperatura 30°. Stoimy tak godzin parę, pocąc się, wzdychając i mdlejąc z gorąca. Odpust: tłok wielki, masa pchana falą wraca na uprzednie miejsce, śpiewa, a potem klęczy mszę całą. Znużony kapłan ociera pot z czoła, atmosfera gorąca, wilgotna, parna. Wystąpiły fale na zewnątrz, w drzwiach wielkich

krzyki kobiet i głos kapłana: Stójcie! Nareszcie powiewa lekki wietrzyk, pierś głębiej oddycha, ręce i nogi odzyskują swą pierwotną władzę!

Inną razą trafiamy na pogrzeb. Mnóstwo świec płonie, na środku kościoła stoją dwie trumny: dorosłe dziewczę zgasłe na czarną ospę i dziecko – ofiara dyfterytu. Trzeci dzień po śmierci, znaczny już stopień rozkładu, zapach kadzidła, wosku... Kondukt ruszył; na barkach zniesiono szczątki i poszły w świat nieznany. Stanęliśmy na cmentarzu, słuchaliśmy mowy i płaczu, obserwując resztki trumien i czaszki praojców wyrzucone z ziemi. W tem jakiś plusk dziwny, niespodziewany, głuchy uderzył ucho. Co to takiego spytałem mimo woli? – To spuszczone ciało, tu woda w gruncie – brzmiała odpowiedź.

Wracaliśmy, rozmawiając o znikomości rzeczy doczesnych. U wrót kościoła stał wózek z nowo narodzonym, oczekującym chrztu; a tegoż dnia wieczorem pobłogosławić miano uroczą parę z sąsiedztwa!

Tu w oczach stanęły wszystkie obrazy, a konsekwencja wrażeń określiła jasno:

1) Że świątynia przy całym majestacie swych obrzędów jest miejscem periodycznych zebrań zwykłych śmiertelników, którzy tu z sobą niosą katary, skrofuły, tu oddychają, tu się poca, tu wydzielają plwocinę, tu żyją!

2) Że świątynie rozpatrywać należy jako miejsce zebrań ludu pobożnego, natchnionego, a więc znajdującego się w najodpowiedniejszych warunkach do przyjęcia zarazki, zabsorbowania go i do wydania go z siebie.

Przypatrzmy się tedy, czy świątynia jako taka odpowiada warunkom, wśród których organizm egzystować powinien, by narażonym nie był na szkodę, by nie ucierpiał na tem.

Przede wszystkim przypomnijmy sobie, że miejsce zebrań ludu odpowiadać winno następującym warunkom:

1) Zbudowane ma być na miejscu wyniosłem, suchem, z dostatecznym przystępem powietrza i przewiewem.

2) Mieć dosyć światła, jednak przyjemnie ocienionem być może, więc w pobliżu pożądane są drzewa.

3) Wszelkie składy winny być oddalone.

4) Miejsca zebrań w zimie mają być umiarkowanie ogrzewane.

5) Drzwi powinny otwierać się na zewnątrz dla uniknięcia nieszczęśliwych przypadków z ludźmi na wypadek pożaru lub popłochu.

Wobec tych słusznych wymagań higieny przypatrzmy się, o ile odpowiadają tym warunkom obecne świątynie:

1) Wybór miejsca dla większości świątyń okazuje się racjonalnie obmyślany. Wznoszą się one przeważnie na miejscach wysokich, otwartych, o tyle suchych, o ile własności gruntu nie stoją na przeszkodzie. Dostęp do wejść swobodny, zwykle obok rozciąga się obszerny plac, poza nim stare cmentarzysko, obsadzone drzewami lub ogród.

Materiał użyty do budowy tak drzewo, jak cegła przeważnie są wyborowe; świątynie bowiem budują ludzie religijni, widzący w tym zasługę przed Bogiem i chlubę dla siebie. Udział

kapłanów i ludzi dobrej woli zapewnia kontrolę wykonawców. Oko architekta specjalisty wybiera to, co w danej okolicy znaleźć można. Budowa idzie powoli – nie na termin – wykończenie więc może być dobre.

Jedyną wadą budowy świątyń jest rutyniczna jakby prawem zwyczajowym przypisana jednostajność w planie i wykończeniu. Zapewne potrzebnym to jest dla zachowania charakterystyki pewnego typu świątyń należących do danego wyznania. Rutyna ta jednak sprzeciwia się nieraz wprowadzeniu ulepszeń i warunków, które z punktu widzenia dzisiejszej higieny okazują się koniecznymi.

Ponieważ budynki świątyni są kapitalne i ściany bardzo grube, na wentylację przez nie liczyć niewiele można, pozostają drzwi, okna i wentylatory. Niepożądanym jest zbyt silny przeciąg przez drzwi przeciwległe, a okna umieszczone zbyt wysoko, by je otwierać łatwo, dlatego główna uwaga zwróconą być winna na wentylację. W najprościej budowanych świątyniach działać powinno kilka wielkich wentylatorów sufitowych oraz kilkanaście ściennych.

[...]

2) Światła świątynie zwykle dość mają – ma ono swobodny dostęp z góry i wywiera swój wpływ zbawienny na proces życia i nastroj ducha zebranych – niemniej jest pożądanym jako niszczyciel i wróg bakterii chorobotwórczych. Brak światła słonecznego zastępujemy z łatwością sztucznym, chociaż takowe z konieczności daje kopeć, zabiera tlen i niedostatecznie oświeca.

Ogrody i cmentarzyska są otoczone zwykle dużymi drzewami, pod których cieniem od spieki chroni się wśród południa znużony pątnik i pobożny przybyły wtedy, gdy już w świątyni za ciasno.

3) W większości świątyń szczególnej dawnych murowanych mamy tak zwane sklepy i podziemia, gdzie niegdyś chowano ciała zmarłych. Wyobraźmy sobie, jakie to powietrze musiało być wewnątrz po wstawieniu nowego nieboszczyka: chociaż okna od sklepów tych wychodziły na zewnątrz, przez cały czas jednak gnicia, wierni przechodzić musieli, czując odrażający zapach, a jeśli drzwi podłogowe idące do podziemi ze świątyni nie dość szczelnie przymknięto, powietrze to czuć było i w świątyni. Nielogiczność tego postępowania była tak bijącą w oczy, że odpowiednie rozporządzenia wzbronili grzebania zmarłych pod kościołami, a nawet cmentarze wyniesiono w ogóle poza obręb siedzib ludzkich. Pozostały jednak jeszcze kościoły podziemne, w których odbywają się ceremonie przedpogrzebowe.

Że do wnętrza świątyń pod żadnym pozorem nie powinny być wstawiane na noc lub kilka godzin trumny z ciałami zmarłych, to nie ulega kwestii. Wobec śmierci wszyscy są równi, a tak ciało biedaka, jak bogacza lub wodza, gdy się rozkładać zacznie, wydaje woń zgnilizny – gdy ta jest zaraźliwą – zarażają się organizmy dotąd zdrowe. Najniewinniejsi więc modlący się w świątyni ludzie, nader potrzebni dla społeczeństwa i rodziny, narażeni są na niebezpieczeństwo zaraźliwego powietrza, o odwrócenie którego prosimy niebiosą w modlitwie!

[...]

Zapewne lepiej jest usunąć rozkładającego się nieboszczyka do kaplicy lub podziemia z ciasnego mieszkania prywatnego, lecz po co koniecznie wstawiać go do świątyni przeznaczonej na modlitwę. Czy nie lepiej wstawić go wprost do kaplicy przedpogrzebowej umieszczonej na cmentarzu? Tu znajomi i krewni zebrać się mogą dla odbycia potrzebnych ceremonii

religijnych, przez co nie zachodziłaby wcale potrzeba narażania wszystkich modlących na niebezpieczeństwo przeniesienia zarazy oraz duchowieństwa na odbywanie długich wycieczek pieszych wraz z konduktem, przyprawiających nieraz słabszych fizycznie kapłanów o stratę zdrowia.

O ile okoliczności te ważne są wobec chorób zwykłych, o tyle w czasie epidemii, kiedy do kościołów wstawiane są trumny zmarłych na choroby zaraźliwe, kwestia ta nabiera charakteru pierwszorzędnej wagi. Niebezpieczeństwo staje się tak widocznym i dla otoczenia zrozumiałym, że odnośne rozporządzenia surowo wzbraniają wstawiania ciał dotkniętych chorobą cholera, dyfterytem, ospą i dżumą – stosować się to jednak winno i do wszystkich zmarłych bez wyjątku.

[...]

4) Typ świątyń naszych przeniesiono żywcem z południa tj. z klimatu ciepłego i dlatego one ogrzewanymi nie są, gdyż tam nie zachodziła potrzeba budowy pieców; lecz w klimacie ostrym, gdzie przez 5 miesięcy trwa zima, ogrzewanie uważać można za rzecz bardzo naturalną. Wprawdzie w czasie wielkiego zgromadzenia się ludu bywa niekiedy gorąco, co znowu sprzyja zaziębieniu po wyjściu z kościoła. Najhigieniczniej przeto byłoby modlić się, zdjawszy wierzchnie ubranie, a przy wyjściu okryć ciało ciepłą suknią i temperaturę przyprowadzić do normy – zdejmowanie jednak ubiorów wierzchnich i strzeżenie takowych byłoby nader kłopotliwym.

[...]

5) Ostrożność, aby drzwi świątyń otwierane były bezwarunkowo na zewnątrz, ma bardzo słuszne podstawy.

Zwyczaj gromadzenia się znacznej liczby ludzi na odpusty i solenne nabożeństwa sprowadza nieunikniony tłok. Pamiętać zatem należy, aby zgromadzenie za wielkiej ilości ludzi w niedostatecznej przestrzeni, nie było powodem szkody dla ich zdrowia. Byliśmy nieraz świadkami zemdleń, wynoszenia kobiet i dzieci ze świątyń na świeże powietrze, falowanie tłumu w różnych kierunkach przy wejściu kilku osobom przeszkadza w modlitwie; przeciskanie się do ołtarza sprawia ten sam skutek. Ograniczanie zatem ścisłu ze wszech miar jest pożądanym.

[...]

Potrzeba więc zadość uczynić dwóm wskazaniom – z jednej strony zmniejszyć tłok, z drugiej zabezpieczyć swobodne wyjścia. Pierwsze wskazanie wypełnione być może w małych kościołach bardzo względnie to jest, o ile wejdzie w zwyczaj, pozostawanie w czasie nabożeństwa na miejscu, bez ciągłego odpływu i przyływu fali ludu, co nawet zgodniejszym byłoby z powagą modlitwy. Wytworzenie stanu tego w pewnej części zależy od duchowieństwa, lecz niezupełnie i dlatego z tłokiem godzić się w wielu miejscach musimy.

Co się tyczy swobodnych wyjść, to takowe zabezpieczone wtedy zostaną, jeżeli drzwi otwierać się będzie od wewnątrz na zewnątrz tj. od świątyni na powietrze oraz jeśli drzwi będą obszerne i znajdować się będą w dostatecznej ilości. Wyobraźmy sobie chwilę, gdy lud stłoczony spotyka drzwi zamknięte! Gdy goreją firanki ołtarzy lub ktoś w przestkach krzyknie, pożar!!! Powstaje popłoch: silniejsi, młodszy wspinają się w górę, biegną jak opętani po głowach towarzyszy, słabszy padają, zgnieceni zostają przez innych i pociągają innych za sobą; płacz, jęk, rozpacz, śmierć! W dodatku drzwi otworzyć nie można, gdyż taka fala je przyciska. Czyż obawa stanu takiego

nie powinna zwrócić uwagę pp. budowniczych, aby w świątyniach było drzwi więcej, niż to jest w zwyczaju, aby takowe zbudowane były racjonalnie i dostatecznie szerokie.

[...]

Jednym ze zwyczajów rozpowszechnionych jest żegnanie się ze zmarłym przez złożenie pocałunku na czole, a w porwywie żalu obsypywanie pocałunkami osoby straconej. Co o tem myśli higiena, łatwo zrozumieć. Siła zwyczaju jest wielką; zrozwaczeni wierni nie zważają na wszelkie perswazje, przyprowadzają dziatki, które tą drogą nieraz zarażają się dyfterytem. Zwyczaj ten powinien być surowo wzbroniony, a przynajmniej ze względu na pewien odcień uczuć rodzinnych wywołujących jego potrzebę ograniczony do minimum. Dzieciom zwłaszcza powinien on być stanowczo wzbronionym, gdyż te delikatne organizmy, tak wrażliwe na przyjęcie zarazka, zbyt łatwo ulegają chorobie i często w ten sposób giną.

Toż samo odnosi się do innych obyczajów związanych z całowaniem. Dotykają bowiem ustami wierni przy wejściu do świątyni powierzchnię stóp krucyfiksu, a bardziej pobożni całują podłogę. Jeżeli przyjrzeć się dokładnie, jaka jest powierzchnia stóp figury Chrystusa przeznaczonej do złożenia pobożnego hołdu, to zauważyć łatwo, że farba olejna zeszała lub odmiękla, powstały tu zagłębienia i wyniosłości z łatwością przyjmujące plwocinę od osób chorych, gotową do przejścia na usta zdrowe dotykające je następnie. Plwocina ta o ile nie będzie startą chusteczką, wraz ze śliną dostaje się do jamy ustnej, a stąd, gdy błona śluzowa jest obnażona do krwi ludzkiej. Tą drogą przeniesić się mogą choroby zaraźliwe: chroniczne skrofule, suchoty, a także inne wysypki zaraźliwe zdarzające się na ustach ludzkich. Toż samo w ogóle odnosi się do podłogi, na którą jedni wyrzucają plwocinę, a drudzy dotykają jej ustami. Dlatego też podłogi świątyń zasługują na szczególną troskliwość i pieczę.

[...]



Pierwsza dekada XX wieku. Kolędniczki z ziemi siedleckiej, najprawdopodobniej z okolic Sterdyni lub Ceranowa (fotografia autorstwa Józefy Tchórznińskiej)².

² „Wieś Ilustrowana”, nr 3 z marca 1910 r.

Widzieliśmy kapłanów obcierających ręcznikiem krucyfiks przy podawaniu go po kolei wielu całującym; zwyczaj ten godnym jest rozpowszechnienia. Nadto trzeba, ażeby krzyże i figury na ten cel przeznaczone, zrobione były z materiału łatwo dającego się oczyszczać i z trudnością utrzymującego na swej powierzchni płyny. Materiałem takim będzie metal trwały, na przykład srebro, albo też kość słoniowa. Tą drogą zyskamy łatwość oczyszczania, a przy tem wymywanie codzienne jako obowiązkowy zwyczaj dla sługi kościelnego dopełni reszty i będzie pobożność z higieną w zgodzie.

Co się tyczy podłogi tj. całowania ziemi, to usunięcie tego objawu ekstazy religijnej byłoby niepodobieństwem. W każdym razie zwróconą być winna natomiast uwaga na budowę podłogi. Najlepszą byłaby marmurowa, ta atoli jest droga i dlatego też wypadnie ograniczyć się asfaltową, terakotową lub betonową. Najbardziej zaś dbać należy o czystość podłogi, a potem dostatecznem jest, aby okoliczności wyżej przytoczone, wiadome były całującemu i jak sam uważa, niech tak postąpi.

Pozostaje nam rzec słów kilka w ogóle o oczyszczaniu świątyń. Na wszystkich przedmiotach znajdujących się w świątyni, a więc na ławkach, obrazach, chorałgwiach, ścianach, sufitach etc. osiada przy każdym zebraniu masa pary wodnej pochodzącej z płuc modlącego się ludu. To zawilgaca ściany i wszelkie przedmioty, i sprzyja osadzeniu się kurzu pochodzącego z podłogi. Skutkiem tego wszystkie utensylia szybko się brudzą i stają się siedliskiem kurzu wszelkiego i bakterii. Niepodobieństwem byłoby kusić się o częste ścieranie ścian w celu oczyszczania; dostatecznem zatem będzie możebnie często, a więc przynajmniej raz na rok wśród lata wybielić wnętrze, oczyścić, najlepiej wytarłszy ściany świeżym chlebem, a gdy takowe są malowane olejno, wymyć je wodą sublimatową, biorąc 1 drachmę tj. pół łyżeczki herbacianej sublimatu na 12 funtów tj. na 3 garnce przegotowanej wody umieszczonej w glinianem lub szklanem naczyniu.

Dla utrzymania czystości przedmiotów ustawionych we wnętrzu świątyni, potrzeba przynajmniej raz na rok takowe dokładnie oczyścić, co się da przetrzeć roztworem sublimatu, inne rzeczy wytrzeć, wywietrzyć, a wszystko wystawić na długie działanie światła słonecznego w południowych godzinach – koniecznem to jest i ze względów konserwacji. W całej zaś świątyni kąty poddasza, podschozia, podłogi ławek zaległe kurzem dokładnie wymieść – słowem corocznie przyprowadzić świątynię do stanu możebnej czystości, pamiętając maksymę, że: „Czystość Bogu jest miłą”.

Niech z powagą świątyń licuje zewnętrzna szata. Niech wzorowa czystość służy przykładem dla domostw i codziennego życia!

[„Życie i Praca” nr 31 z 22 kwietnia 1926 r.]

Zabójstwo. W dn. 4.IV br. służący leśniczego Majewskiego Piotr Wieczorek, mieszkaniec wsi Białebloto gminy Brańszczyk przez nieostrożne obchodzenie się z karabinem zastrzelił służącą tego leśniczego Janinę Tuberek, zamieszkałą w leśniczówce w Dalekiem. Wieczorka aresztowano.

Utonięcie. W dn. 5.IV br. w zatorze rzeki Bug utonął 5-letni Andrzej Rojek ze wsi Turzyn gminy Brańszczyk. Wymieniony wpadł do wody wskutek oberwania się brzegu pod nogami Rojka.

[„Wspólna Praca”, nr 10 z 7 października 1928 r.]

Do Wielebnego X. K. Pyszkowskiego w Czyżewie.

Wielebny ksiądz, będąc kapelanem i członkiem Ochotniczej Straży Pożarnej w Miastkowie i korzystając z jej praw i przywilejów, nie wpłacił nam dotychczas zaległej składki miesięcznej od dn. 1.III.27 r. do 30.V.1928 r. oraz należności za skredytowane bilety na przedstawienie amatorskie, co łącznie wynosi 9 zł.

Mimo dwukrotnego piśmiennego wezwania tutejszego Zarządu, suma powyższa nie jest dotychczas uregulowana, przeto niniejszem uprzejmie proszę o uiszczenie takowej, zgodnie z ogólną uchwałą zebrania naszej straży.

St. Sadowski,
skarbnik Ochotn. Str. Poż. w Miastkowie.